Rok I. — Nr 2. 15 KWIECIEŃ 1937 CENA EGZEM. 20 GR



Okienko na Świat

Pismo dzieci i młodzieży

DWUTYGODNIK — WYCHODZI DN. 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA

Wydawca i redaktor odp.: Dr. Henryka Fromowicz-Stillerowa Redaktor: Marta Hirschprung

N. MIFELEW

Pomarańcza z Erec

Chana, uboga wdowa, mieszka w małym miasteczku. Jedyny jej syn, Szmuel, wyjechał przed pięciu laty do Erec. Pisze dobre listy do matki i co miesiąc przesyła jej nieco pieniędzy. Niedawno zakupił mały sad pomarańczowy, pardes, i w tym roku mają jego drzewa po raz pierwszy urodzić pomarańcze. Na przyszły rok urodzą ich więcej, a wtedy Szmuel pośle matce pieniądze, ażeby przyjechała do Erec.

Chana czyta listy i cieszy się bardzo. Jej oczy pełne są łez, serce pełne modlitwy:

— Panie świata! Daj memu ukochanemu Szmuelowi dużo radości i szczęścia w życiu! Daj mu zdrowie i siłę do pracy!

Matka myśli z radością o dniu, w którym wyjedzie do Erec, zobaczy swego ukochanego Szmuela. Będzie razem z nim pracowała w jego pardesie, będzie żyła w ukochanej ziemi praojców naszych — Abrahama, Izaka, Jakuba.

* *
*

Pewnego pięknego poranku otrzymała Chana małą skrzyneczkę pełną pomarańcz z załączonym liścikiem. W tym liście tak pisał jej Szmuel:

Moja droga, kochana Mamo!

Posyłam Ci dziesięć pomarańcz z mego własnego pardesu. Są to pierwsze i najpiękniejsze owoce. Własnymi rękoma zaszczepiłem drzewa, własnymi rękoma ścinałem te owoce. Spożyj je w radości moja droga mamo, spożyj je i bądź zdrowa.

Myślę, że już z końcem tego roku przybędziesz do Erec i że odtąd będziemy już zawsze razem. Przesyłam Ci b. dużo całusów.

Twój Szmuel.

Chana czytała ten list wiele razy i płakała z nadmiaru radości. Otworzyła małą skrzyneczkę i powoli,



bardzo ostrożnie wyjmowała z niej pomarańcze — jedną za drugą. Brała je w rękę tak, jak matka ujmuje dłoń swego ukochanego dziecka, kładła na stół i długo na nie spoglądała. Na każdej pomarańczy widziała piękne niebo palestyńskie i piękną twarz jej ukochanego Szmuela i zdawało jej się, że każda pomarańcza śmieje się do niej radośnie ze stołu. Tak, wyraźnie słyszy śmiech. To jej Szmuel śmieje się do niej z każdej pomarańczy i mówi swym miłym głosem:

— Mamo, mamo, czy widzisz mnie? Wszak to ja, Szmuel! Witaj droga mamo, witaj!

Chana otwiera usta, wargi jej poruszają się i szepcą:

— Drogie pomarańcze, wy widziałyście mego Szmuela — powiedzcie czy jest zdrów?

— Zdrów, zdrów! — wołają pomarańcze. Widywałyśmy go co dzień, rosłyśmy przecież na jego drzewach. On posłał nas do ciebie, on twój Szmuel.

Oczy Chany napełniły się ponownie łzami. Schyliła głowę w zadumie. Coś się jej teraz przypomniało i o tym dużo, dużo myśli.

* *
*

Było to przed wielu laty, kiedy jej Szmuel był jeszcze małym chłopczykiem. Miał wtedy lat siedem. Pewnego razu poważnie zachorował i przez kilka tygodni leżał w łóżku. Lekarz powiedział, że Szmuel musi się dobrze odżywiać, bo inaczej nie wyzdrowieje. Po wyjściu lekarza Chana płakała bardzo. Wie, że Szmuel musi się dobrze odżywiać, ale skąd wziąć pieniędzy na to. Chana jest biedna. Weszła do sklepu i zażądała pomarańczy. Sklepikarka, która znała Chanę, zapytała ze zdziwieniem:

— Na co ci pamarańcze? Czy w domu ktoś zachorował?

— Mój Szmuel jest chory — odpowiedziała Chana.

Sklepikarka podała jej pomarańczę, a Chana oddała jej ostatnie grosze i poszła do domu.

Podeszła do łóżka i powiedziała do chorego Szmuela:

— Kupiłam ci pomarańczę, mój kochany synku. Zjedz ją! Oby ci przywróciła zdrowie.

I rzeczywiście Pan Bóg wysłuchał modlitwy Chany i wyleczył Szmuela. A w parę lat później wyjechał do Erec. Pracował tam ciężko. A oto ma już Szmuel własny pardes. Matce posyła z niego pomarańcze i nawet pieniądze.

O tym myślała Chana, gdy głowę nisko schyliła. A teraz znowu patrzy na pomarańcze i widzi na nich słońce palestyńskie i uśmiechnięte oblicze swojego Szmuela.

Wówczas pomyślała Chana:

— Kto wie, może pomarańcza którą wtedy kupiłam była także z Erec. Może dlatego Pan Bóg uzdrowił mego Szmuela?

Tak, tak, z Erec! — wołały pomarańcze ze stołu. To była napewno pomarańcza palestyńska, napewno, napewno!

Tak siedziała Chana cały dzień przy stole i szeptem prowadziła rozmowę z pomarańczami. Zadawała im przeróżne pytania a one odpowiadały.

* * *

Nazajutrz wzięła Chana jedną pomarańczę, zmówiła „Szehejanu" i zaczęła jeść.

— Jak słodki i orzeźwiający jest ten owoc — zawołała Chana — jeszcze nigdy nie jadłam takiego.

I rzeczywiście Chana jeszcze nigdy w życiu nie jadła pomarańczy.

— Wystarczy jedna — pomyślała sobie. — Więcej nie będę jadła, więcej mi nie wolno!

Przypomniała sobie bowiem wiele mieszkań, w których leżą biedne i chore dzieci. Do nich więc poszła. A gdzie się zjawiła zapanowała radość.

Jedzcie dzieci — mówiła Chana — będzie to dla was dobrym lekarstwem. Wszak to są pomarańcze z Erec, z ziemi Izraela, z pardesu mojego syna, Szmuela. Jedzcie, a będziecie zdrowe.

— Chana, dlaczego ty nie jesz tych pomarańcz? — pytały matki chorych dzieci.

— Ja zjadłam jedną i to mi wystarczy. Mam dużo pomarańcz. Cały pardes. Niech tylko napiszę mały liścik do mojego Szmuela, to zaraz przyśle dużo skrzyń, pełnych pomarańcz. Ile tylko zechcę.

* * *

Z końcem lata wyjechała Chana do Erec i jest szczęśliwa przy boku swojego Szmuela. Od czasu do czasu przysyła do miasteczka słodkie pomarańcze dla chorych i wątłych dzieci.

MAURYCY SZYMEL
(Warszawa)

TYTUS I MUCHA

(dokończenie)

Tytus uśmiechnął się złośliwie. Niewolnicy wrócili do wioseł, marynarze rozpięli żagle.

Wesoły i pogodny wyskoczył Tytus o świcie na brzeg, gdzie złocił się w słońcu sławny port Brundisium.

Na wspaniałym czarnym rumaku wjeżdżał wielki wódz do miasta. Wiwatowały tłumy. Drogę zarzucono kwiatami. Tańczono i śpiewano na cześć bohatera.

Jadąc tedy wąskimi uliczkami Brundisium zakrztusił się nagle wódz i... kichnął. Świta spojrzała na Tytusa. Był śmiertelnie blady...

Wódz kichnął po raz wtóry i trzeci i czwarty. Zaniepokojeni oficerowie dziwili się temu ciągłemu kichaniu wodza. Tytus uspokoił się i wyjaśnił rycerzom z uśmiechem, że jakaś muszka wleciała mu do nosa, ale wydostała się już widocznie na zewnątrz. Oficerowie śmieli się z wesołej przygody wodza.

Okazało się jednak, że przedwczesny był ich śmiech. Muszka bowiem nie odnalazła już drogi powrotnej, ba, zaczęła się domagać wolności, bzykając hałaśliwie w nosie Tytusa.

Muszka była niezmordowana. Dniami i nocami wzywała na swój sposób pomocy. Pomocy wzywał również największy wódz świata... Tytus.

Tytus i muszka. Muszka i Tytus.

Niewinne to stworzenie, nie znając drogi w ciemności Tytusowego nosa, zaczęło posuwać się ku górze, ku mózgowi...

Żywiąc się krwią wspaniałego wodza bzykała coraz donośniejszym głosem, rosła i domagała się upragnionej wolności.

Zebrali się tedy kapłani i magowie, otoczyli łoże wodza najwięksi ówcześni lekarze świata. Myśleli, myśleli, ale nic nie wymyślili. Nie mogli mu w żaden sposób pomóc.

Życie Tytusa stało się męczarnią. Potężna już teraz mucha nie dawała mu ani chwili spokoju. Nie mogąc sypiać, gnał dniami i nocami na koniu byle zagłuszyć w mózgu straszliwe bzykanie muchy.

Razu pewnego przejeżdżał nieszczęśliwy wódz obok kuźni. Z kuźni rozlegały się potężne uderzenia młotów. Tytus stanął przed chałupą i wsłuchiwał się z lubością w regularny łoskot żelaza. Nagle wydał okrzyk radości. Uczuł bowiem w mózgu ciszę. Mucha przestała bzykać.

Z drżeniem serca wsłuchiwał się Tytus w huk bijący z kuźni. Nie myliły go zmysły. Bzykanie ustało.

Zsiadł tedy Tytus z konia, podszedł do kuźni i oparłszy się o ścianę — usnął. Po tylu miesiącach bezsennych ogarnęła go słodka drzemka, której tak łaknął wyczerpany organizm cesarza.

Tymczasem kowale ukończywszy pracę, poczęli wychodzić z warsztatu. Ujrzawszy człowieka drzemiącego w pozycji stojącej potrząsnęli nim mówiąc:

— Do domu rycerzu, nie tu miejsce do spania.

Tytus ocknął się. Z przerażeniem stwierdził, że mucha nadal brzęczy w jego mózgu.

Rozkazał tedy sprowadzić do swojego pałacu dwudziestu kowali, których zadaniem było zagłuszać bzykanie muchy.

Biedne to stworzenie zdrętwiało ze strachu pod wpływem potężnych łoskotów. Kowale pracowali bowiem na zmianę. W dzień i w noc bez przerwy wypełniał pałac Tytusa huk młotów.

Mógł tedy Tytus przez szereg dni spać. Ogłuszona mucha ucichła.

Po kilku dniach jednak, gdy łoskot nie ustawał, zaczęła się mucha przyzwyczajać do tych „grzmotów". Zaczęła więc dalszą walkę o wolność. Straszliwe bzykanie wypełniało znowu zgrozą mózg Tytusa.

Nie było miejsca na całym świecie, gdzie by nieszczęśliwy ten człowiek znaleźć mógł spokój, gdzie by mógł usnąć.

Ulitowała się nad nim wreszcie — śmierć.

Tytus umarł w czterdziestym roku życia. Po śmierci znaleziono w głowie cesarza skrzydlatego potworka o wadze dwóch srebrników.

W jaki to dziwny sposób — kończył swą opowieść Achitofel — ukarał Bóg opanowanego pychą Tytusa.

Wyrok wykonała z rozkazu Boga mała, zwyczajna mucha...

SPACER PO MUZEUM DLA DZIECI

Uprasza się uprzejmie o dotykanie przedmiotów!

Zdaje się, że każdy z nas lubi zwiedzać muzeum. To jest ogromna przyjemność. Chodzisz sobie z miejsca na miejsce, patrzysz na wystawione przedmioty, patrzysz, podziwiasz, obserwujesz i nie wysilając wcale mózgu, możesz wskutek takiej wizyty w muzeum, w sposób bardzo interesujący, douczyć się wielu rzeczy.

Ale jest coś, co ogranicza tę radość. Wolno wprawdzie patrzyć na wszystko jak długo się chce, ale nie wolno niczego do rąk brać. Wszędzie stoją ostrzegawcze tablice: — „Uprasza się nie dotykać przedmiotów!" — i surowi strażnicy dobrze pilnują we wszystkich salach, ażeby tych przepisów jak najściślej się trzymano. Szkoda! Gdyby tak pozwolono samemu kołem pokręcić, mały modelik dokładnie zbadać, działanie tej lub owej siły wypróbować, byłoby to przecież wspaniale nie tylko dla zabawy, ale i dla nauki, bo wszystko, co się samemu wypróbuje, staje się o wiele łatwiejsze do zrozumienia.

Takie życzenie mają dzieci nie jednego kraju, ale całego świata i w niektórych miastach życzeniu temu stało się zadość.

Oto utworzono własne muzea dla dzieci i — jak tego pragną — mogą w nich same kręcić, śrubować, wystawione przedmioty do rąk brać, i podpatrzyć tajemnicę wszystkich rzeczy.

Takie muzea istnieją w rozmaitych miastach Ameryki, także i w stolicy Anglii — w Londynie.

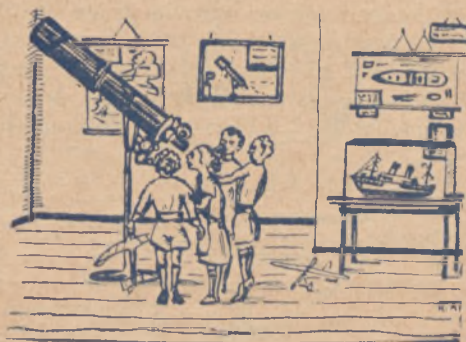
O tym właśnie londyńskim muzeum chcemy Wam choć trochę opowiedzieć.

Na niższych piętrach muzeum technicznego w Londynie, jest cały szereg sal przeznaczonych wyłącznie na muzeum dla dzieci. Wszystko, co tylko może je zainteresować, zostało tutaj nagromadzone. Można widzieć rozwój podawania wiadomości, komunikacji, oświetlenia i wielu innych rzeczy — od czasów najdawniejszych aż do chwili obecnej.

Oczywiście takie skrzynki teleskopowe istnieją także gdzieindziej, ale tutaj w muzeum londyńskim mogą dzieci same, za uchwytem własnych rąk, wszystko w ruch puścić i mają sposobność przekonać się o tym, że czytanie książki przy świetle żarówki elektrycznej jest przecież o wiele milsze, niżeli czytanie przy ogniu, wykrzesanym z kamienia. Albo też że gotowanie na piecu gazowym jest oczywiście prostsze, niż pieczenie mięsa, nadzianego na włócznię — nad wolnym ogniem.

A dalej widzi się na małych modelikach wszystkie stopnie ilustrujące rozwój samolotów. Wolno je do rąk brać i nawet rozłożyć na części.

A więc można tu zobaczyć legendarne skrzydła z piór i wosku, przy pomocy których Dedal i Ikar próbowali po raz pierwszy wznieść się w powietrze i widzi się tu zarazem nowe samoloty pasażerskie, które łączą ze sobą kontynenty. Zwykły zegar piaskowy starych Egipcjan jest tu tak samo reprezentowany, jak i najnowszy zegar elektryczny. Mali zwiedzający, mogą te zegary sami wypróbować i przekonać się łatwo, który z nich mniej lub więcej ściśle czas wskazuje.



Rys. R. Apte.

A tam znów ciągną się przez sale liczne witryny zawierające różne „cuda". Wystarczy jeden jedyny raz nacisnąć guziczek, znajdujący się przy każdej skrzynce, by rozmaite figury i postacie na nowo do życia powołać.

I oto widzimy przy pracy rzemieślników wszystkich czasów. Przed małym, średniowiecznym domkiem szewc uderza młotkiem o but, garbarz wyprawia skórę, stolarz pracuje b. prostymi narzędziami. A tuż obok puszczone są w ruch fabryki obuwia, skóry i mebli i możecie zobaczyć ludzi pracujących przy maszynach, jak w ciągu jednego dnia robią więcej, niżeli średniowieczny robotnik przez lata całe.

A może pragniecie poznać historię podawania wiadomości na przestrzeni wieków?

Podejdźcie najsamprzód do ognia, który nad górami jaśnieje i sygnalizuje wiadomości z kraju.

Zobaczycie później gońców, którzy z ważnymi wieściami pędzą z miasta do miasta, z kraju do kraju, a na samym końcu znajduje się wreszcie modny aparat telegraficzny, który wolno Wam samym uruchomić.

Albo może interesuje Was bardziej dział teatru? Może wolicie w tym małym modelowym teatrzyku podnieść żelazną kurtynę i zainscenizować „groźną wichurę", albo „błyskawicą" rozświetlić całą scenę. Możecie też użyć maszyny do robienia deszczu. A gdy któryś z Was znajdzie się następnie w teatrze, już się niczemu nie będzie dziwił, bo wie już dobrze jak to się robi takie „czary".

Chcecie zapewne poznać sposób użycia komórek fotoelektrycznych. Te niewidzialne promienie odrazu dają sygnały gdy tylko ktoś się zbliża. Dlatego zastosowano je w bankach i sklepach jako najpewniejszą ochronę przeciw włamywaczom.

Także tutaj w muzeum zostały takie fotoelektryczne komórki wmurowane i ledwo zbliżysz się do granicy zakreślonego miejsca, wnet rozlega się gwizd ostrzegawczy. A gdybyś ty był takim... rabusiem jakiego tutaj udajesz — oho, przepadło!... — odrazu wpadłbyś w sidła!

Jeszcze wiele innych rzeczy potrafi ta komórka wykonać. Umie nacisnąć klamkę i drzwi otworzyć, pakunki sortować i liczyć. Umie także okna wystawowe oświetlać — i to w chwili gdy ktoś przechodzi, no i gasić — gdy ten ktoś wystawę mija.

Tu właśnie, w tym muzeum dla dzieci, można dokładnie zaobserwować jak ona pracuje. A to wszystko nie wydaje się już potem jakimś dziwnym, niezrozumiałym czarem.

Moglibyśmy Wam jeszcze o wielu cudownościach opowiedzieć, — o najrozmaitszych modelach maszyn, żórawiach przy pracy, lokomotywach, transatlantyckich okrętach, cóż, kiedy miejsca mamy mało.

Musimy natomiast opowiedzieć jeszcze o specjalnym kinie, które dla dzieci, zwiedzających muzeum, stoi otworem. Dają w nim najbardziej interesujące filmy z różnych dziedzin wiedzy. Nic więc dziwnego, że o każdej porze dnia, sala kinowa, jak zresztą całe muzeum, wypełnione jest dziećmi po brzegi. Bo — i to zresztą jest ogromnie ważne — wstęp do tej krainy dziwów jest dla zwiedzających — bezpłatny i każde dziecko może bez opieki cały swój wolny czas spędzić w tym ciekawym i urozmaiconym otoczeniu.

A z pozwolenia tego chętnie robią użytek dzieci londyńskie.



Kraje zimne i gorące

— Br... jak zimno!

— Uf... jak gorąco!

— Marznie się w tych klatkach, nieprawda przyjacielu?

— Ależ nie, kolego, moim zdaniem jest tak gorąco, że można się udusić. Jeśli długo tak będzie, chciałbym pozbyć się mego futra i dać ci je w podarunku.

*

Tak to, siedząc w klatkach, w menażerii, rozmawiały ze sobą lew i biały niedźwiedź.

— Kraj w którym dotychczas żyłeś — mówi dalej lew — musiał być okropnie zimny, jeśli teraz upał bardzo ci dokucza?

— Żyłem — odpowiada biały niedźwiedź — na północy Syberii, nad brzegiem Oceanu Lodowatego.

Wyobraź sobie kraj, w którym zima trwa wiecznie, który jest pokryty lodem i śniegiem, wyobraź sobie białe płaszczyzny, białe góry, rzeki zamarznięte od jednego brzegu do drugiego. Ani jednego drzewa, ani źdźbełka trawy, ani miast, ani domów zbudowanych przez ludzi; taka jest moja ojczyzna, ojczyzna białych niedźwiedzi.

Tam żyjemy wolni i szczęśliwi i nie samotnie ale większymi grupami, bo lubimy bardzo towarzystwo.

Biegniemy przez olbrzymie białe pola, a śnieg, którym są przykryte, jest jak miękki dywan dla naszych nóg, śmiali z nas pływacy, huśtamy się odważnie na olbrzymich ławach lodu, które przynoszą fale Oceanu.

Żywimy się rybami, wszędzie ich jest pełno, albo zjadamy foki, których mięso pachnące oliwą, jest najwspanialszym przysmakiem.

Bylibyśmy zupełnie szczęśliwi, gdyby nie to wspaniałe futro na naszym grzbiecie, które chroni nas wprawdzie od zimna, ale pobudza chciwość ludzką i każe ludziom prowadzić przeciw nam zaciekłą wojnę. Ale ty, zmarzlaku mój przyjacielu, powiedz gdzie ty spędziłeś młodość?

— Ja, odpowiada lew, pochodzę z miejsc najgorętszych na ziemi.

O jakżeż upalne jest słońce Afryki! Gdzie niegdzie wysusza wszystko co żyje. Tam jest pustynia. Nie miło jest przechadzać się po niej, bo gorący piasek parzy nam łapy. Ale tam, gdzie jest dość wody, by rośliny mogły żyć, tam drzewa są wspaniałe, tam lasy są ogromne. Można całymi dniami przechadzać się pod zielonym i cienistym dachem.

Tam żyją cudowne słonie, nosorożce z rogiem na nosie, żyrafy z długą szyją, antylopy, których mięso jest takie delikatne. Z bagna wychyli się czasem głowa hipopotama, albo jakiś krokodyl ciągnie leniwie przez błoto.

U nóg naszych, w trawie, wiją się węże, nad głowami setki małpek huśtają się na gałęziach, kłócą się, bawią w goniawkę, wykrzykując przeraźliwie.



Rys. R. Apte.

Tam spędziłem młodość uganiając po puszystych łąkach, lub przyczajony w ciemnej puszczy, aż przyszli do puszczy czarni ludzie i zabili moją matkę. Byłem za mały jeszcze i zbyt słaby, by móc się bronić. Ludzie zabrali mnie ze sobą. Mój Boże! czy ujrzę jeszcze kiedyś Afrykę, jej palące słońce i ogromne lasy?

— A ja, czy powrócę do mego śnieżystego kraju?

* *
*

— Panie, Panowie, proszę bardzo, wchodźcie! Tylko 50 groszy! Przyjdźcie oglądnąć białego niedźwiedzia z Syberii! Przyjdźcie oglądnąć króla zwierząt, wielkiego lwa z Afryki!

Czy wiecie że...

... Okulary noszono już w roku 1280. Teleskopy zaczęto robić w 1608 roku. W roku 1816 wynaleziono fotografię, a w roku 1890 — film. Zdjęcia na odległość udało się zrobić dopiero w 1906 roku.

Z prac naszych czytelników

Skrzywdziłem

Chciałem coś wyznać ze skruchą. Jest taka sprawa, która spokoju mi nie daje. Wciąż o niej myślę: — skrzywdziłem pana nauczyciela.

A było to tak: Urządziliśmy w szkole przedstawienie. Na tym przedstawieniu miała nasza klasa odegrać bardzo ładną scenkę p. t. „Ptasie radio". Nasz pan nauczyciel kierował całym przedstawieniem, a z nami miał najwięcej kłopotu, zanim nauczyliśmy się „świstać, kwilić, pimpilić i pimpilitać" — jak ptaki.

Ja miałem być słowikiem i pierwszy zaświergotać do... ptasiego radia. Była to strasznie śmieszna rola i zazdrościły mi jej inne „ptaki", bo nawet jeden z nich powiedział:

„Patrzcie jak nastroszył piórka,
Stroi koncert jak Kiepurka".

Przyszedł dzień przedstawienia. Pan nauczyciel pracował w pocie czoła, bo było bardzo dużo pracy z przygotowaniem sceny, z przebieraniem artystów i wogóle ze wszystkim. Zeszło się dużo gości i był wielki ścisk na sali. Dorośli stali w pierwszych rzędach i zasłaniali małym, a pan dyrektor strasznie się o to gniewał.

„Ptasie radio" miano odegrać na samym końcu, bo to był najładniejszy numer.

Tymczasem... wyznaję ze wstydem, że ten najważniejszy numer, który miał być ładnym zakończeniem przedstawienia — ja właśnie zepsułem.

To było tak: Kiedy zacząłem przemówienie do radia, chłopiec, który stał obok mnie na scenie i był także ptakiem, zaczął mnie rozśmieszać w ten sposób, że mi coś szeptem „pimpilił i pimpilitał" do ucha. A to nie należało wcale do roli. I nie wytrzymałem. W środku mowy wybuchnąłem głośnym śmiechem, a za mną wszystkie dzieci, które przedstawiały. No i zamiast przemówień i śpiewu ptasiego, były tylko „miłe" ryki, piski i śmiechy na scenie. Zepsułem przedstawienie. Pan nauczyciel aż zbladł z gniewu i w zdenerwowaniu powiedział mi później za sceną kilka nie miłych słów. A ja nie miałem odwagi aby go przeprosić chociaż bardzo, bardzo tego żałuję.

Nie chciałem przecież skrzywdzić pana nauczyciela, którego kocham jak mojego tatusia.

Saluś Zeuger (kl. IV szk. pow.)



Zostanę szoferem

Abraś spędza wakacje u wuja Dowa, w kolonii, nie daleko Jerozolimy.

Wuj Dow włożył niebieski ubiór mechanika.

— Chodź ze mną do garażu, muszę przygotować auto.

— Dlaczego twoje auto nie ma z tyłu siedzenia?

— Bo to jest wóz dla przewożenia towarów i nie bardzo przyjemnie się nim podróżuje.

Abraś siada przy kierownicy jak prawdziwy szofer. Naciska gumową gruszkę i Koun! Koun! Koun! Głos trąbki napełnia cały garaż. Naciska czarny guzik, sygnał ostrzegawczy Hu! Hu! Hu! ryczy przeraźliwie wóz.

— Nie dotykaj niczego — krzyczy wuj, z tymi maszynami nie trudno o wypadek. Weź lepiej szmatę i oczyść reflektory, przejedź nią też po szybach.

Abraś jest strasznie dumny. Zdaje mu się, że jest już pomocnikiem mechanika.

— Teraz musimy dać jej najeść się i napić. I wuj Dow otwiera przód maszyny.

— Widzisz motor? Motor porusza koła. Trzeba mu najpierw dać trochę oliwy. Podaj mi tę małą bańkę a potem napełnij polewaczkę wodą.

Wuj wlewa wodę do jakiejś dziury, a potem wypróżnia dużą bańkę benzyny do zbiorników.

— Obróćmy korbę. Tef! Tef! Tef! Abraś aż podskoczył ze strachu, tak przeląkł się tego hałasu.

— Dobrze chrapie — powiedział wuj — możemy jechać.

Wóz jest gotowy. Wuj siedzi przy kierownicy a Abraś obok niego. Skrzynie z pomarańczami leżą same z tyłu. Znowu tef! tef! i auto rusza.

— Tylko bądź ostrożny i nie jedź szybko, woła z daleka ciocia Mira. Auto ciężko obładowane toczy się w stronę miasta. Za wozem unosi się chmura kurzu. Jak to cudnie pędzić tak obok wuja, wielkim posłusznym wozem! Wiatr bije w twarz. Wóz kołysze przyjemnie. Drzewa uciekają po obu stronach drogi. Nie można nawet rozpoznać twarzy przechodniów.

— Jesteśmy koło domów, trzeba zwolnić.

— Patrz, tabliczka „Jechać cicho". To szpital. A teraz pola. Przemkniemy się, tylko nie zbyt szybko.

— Jakiś wóz jest przed nami. Koun! Koun! Hu! Hu! Już przejechał.

Stado wielbłądów przebiega drogę. Stop! Musimy czekać aż przejdą. Wielbłądy otoczyły wóz, wyciągają szyje. Jeszcze chwila, a dobiorą się do pomarańcz z tyłu. Czy nigdy sobie nie pójdą? Już, już. Nadbiega bosy chłopiec z batem i przepędza zwierzęta. Ua! Ua! Droga wolna. Naprzód.

— Jakiś napis, wujku. „Jechać powoli".

— Tak, to szkoła. Wjeżdżamy do miasta. Tu się zatrzymamy.

— Zostanę szoferem, powiedział stanowczym głosem Abraś, wychodząc z wozu.

oprac. **Nuśka Wietschner**

CHAIM NACHMAN BIALIK

Okręt

— „Okręcie mój chyży,
A dokąd to płyniesz?
— „Do zamków złocistych
W dalekiej krainie!..."



Rys. Nachum Gutman

— „A cóż mi przyniesiesz?"
— „Perełki w pucharze —
Ja rajskim słowikiem
Dziecinę obdarzę!..

Rój skarbów nasypię
Na rączkę maleńką..."
— „Więc płyń, mój okręcie,
A wracaj mi prędko!..."

Spolszczył SALOMON DYKMAN

Wszystkie dzieci czytają OKIENKO!

Ładne ręce

— Prawda, mamusiu, że Hania ma bardzo brzydkie ręce.

— Nie podzielam twego zdania — odpowiedziała mamusia — to są najpiękniejsze ręce jakie znam.

— Ależ mamusiu, czy nie zauważyłaś jakie są szorstkie, czerwone?

— Moje dziecko — powiedziała mamusia biorąc w swe ręce malutką białą dłoń dziewczynki — popatrz, to jest dłoń bardzo milutka a jednak wolę ręce Hani. Czy wiesz dlaczego?

— Nie, mamusiu.

— Ponieważ ręce Hani nigdy nie są bezczynne, bo myją naczynie, piorą bieliznę, gotują szyją, naprawiają. Zawsze są pracowite i wszystko robią, by pomóc słabej i obarczonej pracą matce.

— Nigdy o tym nie pomyślałam, mówi zmieszana dziewczynka.

— Te dobre ręce podtrzymują też małego braciszka, który nie umie jeszcze chodzić i ocierają mu łzy, kiedy upadnie i płacze. A raz, widziałam, jak te ręce podniosły ciężki kosz, by zanieść go do mieszkania biednej, starej kobiety, zbyt słabej by go udźwignąć. Powiedz mała córeczko, czy brzydkie są takie ręce?

— O nie, nie, mamusiu. Wstyd mi, że tak mówiłam. To są piękne ręce.

Tłum. N. W.



Moje okienko

Gawędy pana Kurka

I.

Pani Redaktorka powiedziała:

— Dzieci muszą mieć pismo, które byłoby ich pismem, w którym mogłyby się swobodnie wypowiadać, wylewać skargi i żale, dzielić się radosnymi przeżyciami!

I stworzyła pismo.

Ale przed tym jeszcze zmarszczyła brew, ugryzła się w... wieczne pióro i postanowiła:

— W tym piśmie potrzebny jest „typek", któryby się szczerze rozmówił z bracią sztubacką o tym, co ich boli w domu, w szkole, na ulicy.

Rozejrzała się za takim „typkiem". Raz-dwa, i już go znalazła.

Domyślacie się pewnie, że „typkiem" tym byłem ja...

I odezwała się do mnie urzędowym, redaktorskim tonem:

— Panie Kurku! Kazałam „wybić" dla Pana w piśmie „Okienko". Niech się Pan gapi przez nie na świat, z czego nie wynika bynajmniej, że musi Pan być gapą... Przyglądaj się Pan dobrze życiu sztubaków i pisz Pan o tym. Nie próżnuj mi Pan tylko!

Nim zdołałem ochłonąć z wrażenia i kiwnąć palcem w bucie, nie stalo już Pani Redaktorki.

— Jak widzicie — głupio wsiąkłem. A wszystko przez to, że zapomniałem na czas... kiwnąć palcem w bucie...

I tak oto narodziło się **„Moje Okienko"**.

A teraz, do rzeczy!

Naszą rozmówkę rozpoczniemy od godziny wychowawczej. Co to za „zwierz" — wiecie wszyscy. Nie potrzeba zatym żadnych wstępów.

Ot po prostu: istnieje ta godzina po wszystkich szkołach. W jednych — między dzwonkiem a dzwonkiem. Zamiast, powiedzmy, lekcji rachunków lub przyrody. I wówczas jest ta godzina wychowawcza bardzo mile widziana przez, że tak powiem, szerokie sfery sztubakerii... Choćby się na niej ziewało i otwierało raz po raz usta szeroko, jak wtedy, kiedy ci lekarz zagląda do gardła... Nawet morały, które ci wychowawca wpuszcza za kołnierz i pod dziesiąte żebro, nie sprawiają ci dziś zbytniej fatygi, ani przykrości. Bo jak mówi Romek:

— To wszystko bardzo się opłaca. „Nawala" się lekcyjkę...

A taki, na przykład, Marek, zatracony leń, to się nawet zachwyca i rozkoszuje godziną wychowawczą i wyznaje otwarcie swoją ku niej „miłość".

— Lubię ją — mówi — choć to nieraz „nudy na nudy". Bo na tej kochanej godzince nie grozi żadna dwója lub inna pała. I w ogóle — dodaje — uważam, że wszystkie lekcje powinny się składać z godzin wychowawczych, toby dzieci chodziły, nie! — pędziły chętnie do szkoły...

Kto wie — może z czasem uczyni szkoła zadość życzeniu Marka. Ale na razie, moi drodzy, jest krucho. Bo oto w niektórych szkołach umieszczono godzinę wychowawczą na szarym końcu, to znaczy — po wszystkich lekcjach. Dlaczego? — ano dlatego, przypuszczalnie, żeby się brać sztubacka, wzorem Marka, nie „bujała" w niej za bardzo...

I rzeczywiście — „epidemię miłosną" diabli wzięli. A zawodowi „nawalacze" i specjaliści „od wagarowania", jak donosi agencja prasowa pod nazwą „Deptak" — znienawidzili ją po prostu. Na głowę nieszczęsnej godziny wychowawczej spadły naraz takie oto pociski słowne:

— Potrzebna, jak krowie siodło!

— Jak kozie kapelusz! — dodał rozgoryczony Mietek.

Busiek zaś, taki zawodowy głodomór, bo się biedaczek wyraźnie morzy głodem i na każdej pauzie zamiast pięciu bułek, zjada tylko dwie, ronił łzy wielkości strusich jaj, że aż za serce chwytało.

— Jabym już dawno wcinał obiadek — jęczał żałośnie. — Och, jak mnie wszystko wewnątrz skręca! Ja tu chyba, przez tę głupią godzinę wychowawczą, kopyta wyciągnę...

I rozbeczał się nagle głośno. Ale nie z winy godziny wychowawczej. To Lutek, który miał z nim stare porachunki, wyrżnął go właśnie w kark.

Największe jednak odkrycie zrobił chłopiec o przezwisku Kolumb z Pipidówki. Ten ci miał genialny łeb, tylko że ludzkość, to znaczy — jego klasa, nie chciała się za nic poznać na jego talentach.

— Chłopcy — powiedział — godzina wychowawcza po lekcjach, to tak, jakby nas zostawiono za karę na godzinę. A przecież jesteśmy Bogu ducha winni.

— Jak babcie kocham, że Kolumb z Pipidówki ma rację! — wrzasnął Rysiek, Trąbą Jerychońską zwany, a wszyscy, z wyjątkiem Jurka, poparli go rykiem, sykiem i afrykańskimi głosikami piszczałek...

Jurek tylko nie brał udziału w tym, delikatnie mówiąc bałaganiku. A kiedy się brać nareszcie raczyła uciszyć, odezwał się:

— A ja uważam, że godzina wychowawcza jest bardzo potrzebna.

— Cooo?! — wyrwało się naraz potężne wycie z czterech dziesiątków gardzieli. — Z byka spadłeś?!

I zamierzano z miejsca rozszarpać „bidnego" Jurka. Żeśmy nazajutrz nie czytali w gazetach o męczeńskiej śmierci Jurka, należy to zawdzięczać tylko szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Wychowawca bowiem stanął w drzwiach i przeszkodził w sadzeniu Jurka na pal.

— Pokażemy mu później! — odgrażali się chłopcy szeptem i pokazywali Jurkowi swoje pięści.

Uspokoili się jednak rychło, bo zaczęła się właśnie godzina wychowawcza. W klasie zapanowała przykładna cisza. I ja więc muszę na razie siedzieć cicho w oczekiwaniu na dzwonek.

Pan Kurek.



Skrzynka pocztowa

Wszystkim, którzy przesłali nam serdeczne życzenia i słowa zachęty z okazji wydania pierwszego numeru „Okienka na świat" oraz życzenia świąteczne dziękujemy najserdeczniej i odwzajemniamy te ostatnie.

Halusi Bloch, Chaji Birnfeld, Henrykowi Einhorn, Tusi Geitheim, M. Hirschhornowi, J. E. B. H., M. Natanowi, Z. Rubinsteinowi, Inusi Scherer i Dinie Weinberger za miłe i serdeczne liściki bardzo dziękujemy.

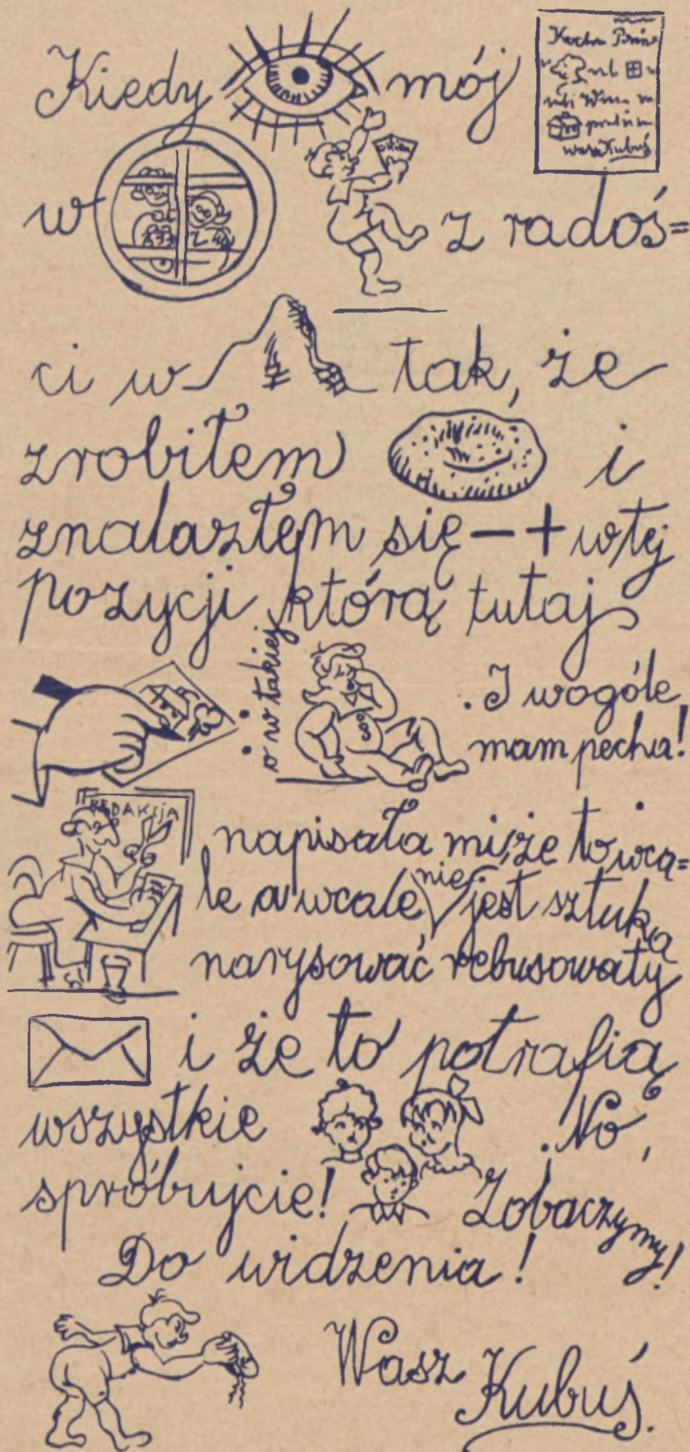
H. E. N. S.: Dla „Okienka" nie nadaje się.

G. W. (Kraków): Z przyczyn od nas nie zależnych pierwszy numer Okienka ukazał się dopiero teraz. Prawdopodobnie do „wybijania" okienek na świat nadaje się bardziej pora wiosenna.

Rozwiązanie zagadek umysłowych z Nr. 1. zamieścimy w następnym numerze.

Dotąd nadesłali rozwiązanie: Markus Hirschhorn, Dina Weinberger, Tusia Geitheim, Judyta Engel, Nisia Samuel, Dola Halberstam, Marysia Mehl, Ida Timberg, Markus Natan, Ina Scherer, Chaja Birnfeld, Ziuka Nattel, Bronisława Birnbaum, Helusia Kalfuss, Halusia Bloch, Reisner Regina, Julek Silberring, J. M. Sachs, Salus i Sydka Zeuger — z Krakowa. G. Better (Warszawa), Ala Junger (Łódź), Sala Hecht, Rachela Dorlich (Nowy Sącz), Barbara Freudlich (Rabka), J. E. B. H., Biała k. Bielska, Krysia Reich (Chrzanów), Dziunek Bester (Przemyśl), Wiktor Statter (Maniowy), Edzio Zucker (Niebylec).

Drugi list Kubusia do czytelników



Kto się chce zmierzyć z Kubusiem?

Krótkie, dowcipne i najbardziej udane rebusowate listy zamieszczone zostaną w wesołym okienku i nagrodzone przez Redakcję.

Szczegóły w następnym numerze.

MINKA SILBERMAN, Stanisławów.

Pierwsza wizyta „Okienka"

W domu ruch się zrobił. Boże!
co hałasu!
Jakby stado dzików wybiegło dziś
z lasu...
Krzyczy Renia coś do Genia! Fela
drze się ile sił!
Dolek pcha się wciąż do stołu, Busio
go odpycha w tył.
Nawet Rutka ta malutka, co ma
latek: raz i pół,
Trzyma mocno nogę krzesła, żeby
wdrapać się na stół.
Oj, na Boga! Co się stało? Babcię
głowa boli już!
Krzyczy mama, ciocia, niania: cicho
dzieci! Ale cóż?
Bo listonosz dał kopertę, taką dużą,
że aż ha!
A koperta dziw nad dziwy:
ta gazetkę w środku ma!
Na gazetce jest okienko. Z szybek
główki śmieją się.
Ktoś chce czytać. Ktoś oglądać. Ktoś
rebusik widzieć chce.
Puść do stołu! Daj do ręki! Odejdź!
Nie rusz brudną ręką!
Nawet Rutka, ta pulchniutka kwili:
„tienko! daj oj-tienko!"
Babcia wzdycha: przed świętami był
potrzebny taki hałas?
„Cicho babciu, żebyś lepiej to
„Okienko" przeczytała...
Ty masz „Chwilę" „Di Woch" „Słowo"
Ty masz gazet ile chcesz,
Ale babciu, to „Okienko", to gazetka
nasza jest!"

— — —

Siadły dzieci na kanapie.
Cicho, cicho, cichuteńko...
Renia, czyta trochę drżąco:
Otwieramy dziś „Okienko"...

Czeka...

—No, a co ty robisz w szkole, Romciu?
— Nic, proszę cioci — siedzę i czekam, aż zadzwonią i puszczą do domu.

KONKURS DLA CZYTELNIKÓW
KUPON Nr 1

Rozrywki umysłowe

Którędy prowadzi droga...

W jednym z pism palestyńskich czytamy: 4 dzieci, Dan, Dina, Ram i Rina chciały się dostać do pardesu. Właściciel pardesu powiedział:

— W ostatnich czasach namnożyło się wielu złych i nieuczciwych ludzi, którzy dobierają się do owoców i niszczą drzewa pardesowe. Aby ustrzec moje owoce i drzewa od podobnych szkód, otoczyłem swój pardes siecią ścieżek, oparkanionych drzewkami, o kolczastych liściach. Pardes znajduje się w samym środku. Niechaj każdy z was wejdzie do niego z innej strony, a komu uda się dotrzeć do środka, ten otrzyma najpiękniejsze i najsoczystsze owoce w darze.

Weszły dzieci z czterech stron, ale tylko jednemu z nich udało się dostać do środka. Reszta znalazła dojście zamknięte kolczastym parkanem.

A więc zachodzi pytanie kto otrzymał słodkie owoce — Dan czy Dina, Ram czy Rina, no i którą drogą kroczył ów mały „bohater"?

Dla tych, którym się uda oznaczyć na obrazku tę drogę strzałkami, także Redakcja „Okienka" przeznacza „słodkie" nagrody.

Rozsypanka — figiel

Nad. RENIA LEMBERGER, Kraków.

Ułóż z podanych niżej liter znane stare miasto

a, a, a, e, e, i, s, s, t, t, n, n, z, o, r, m.



Rozwiązanie zagadek nadsyłać można najpóźniej do dnia 22-go kwietnia.

Kącik filatelisty.

Jubileusz znaczka pocztowego

Znaczek pocztowy w swej dzisiejszej formie, obchodzi tego roku 100-letni jubileusz. Nie należy jednak przypuszczać, że do tego czasu znaczek wogóle nie istniał. Już w r. 1653 dzierżawca paryskiej poczty miejskiej wydawał t. zw. „kwity na zapłacone porto". Były to wąskie paski papieru, przylepiane do listu, albo też listy wkładano w paski, tak że urzędnik mógł je łatwo spostrzec i zdjąć. Nie było to oczywiście ani wygodne ani praktyczne. Dopiero angielski wydawca i właściciel księgarni, Chalmers, wpadł na pomysł, by dla opłacania porta używać pocztowych znaczków wartościowych, podklejanych na odwrotnej stronie. W r. 1837 (a więc dokładnie sto lat temu) wydrukował w swej własnej drukarni pierwszy próbny znaczek i przedłożył odnośnej komisji. Pomysł Chalmersa został przyjęty i Anglia wprowadziła ten system w obiegu pocztowym, przez co zdobyła wielkie korzyści w stosunku do innych państw. Znaczek Chalmersa nie był jednak jak dzisiejszy, kolorowym obrazkiem ze ząbkami i wodnymi znakami. Była to zwykła karteczka, ze skromnym czarnym nadrukiem. Za przykładem Anglii poszły wnet i inne państwa i dziś trudno nam sobie wyobrazić obieg pocztowy bez tego praktycznego znaczka do naklejania.

Konkurs dla czytelników

Dla Czytelników i Czytelniczek „Okienka na świat" którzy nadeślą nam 6 kuponów z kolejno następujących po sobie 6 numerów naszej gazety, wylosowane zostaną w nagrodę za wytrwałość w zbieraniu piękne i wartościowe książki i gry towarzyskie. Bliższe szczegóły w następnym numerze.

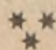
Uwaga! Kuponów nie należy przesyłać nam pojedynczo, ale wszystkie 6 razem. W dzisiejszym numerze drukujemy kupon I, w następnym drukować będziemy drugi i t. d.

Kwadrat magiczny

Nad. Z. HECHT, Bielsko.

1	2	3
4	5	6
7	8	9

Liczby w powyższym kwadracie należy uporządkować w ten sposób, aby sumy rzędów pionowych, poziomych i ukośnych wynosiły 15



Werbujcie Przyjaciół i Abonentów DLA OKIENKA!

Abonament miesięczny — 40 gr — kwartalny — 1·10 zł — półroczny — 2 zł

Ceny ogłoszeń: Cała strona 200 zł — 1/2 strony 120 zł — 1/4 strony 70 zł — 1/8 strony 40 zł — 1 mm 40 gr

Wszelkie wpłaty uskuteczniać można w każdym Urzędzie poczt. przekazem rozrach. Nr. 23 (bez opłaty)

Adres redakcji i administracji: **Kraków, ul. Lubicz 24 — Telefon Nr 106-76**

Adres red. Hirschprunżanki dla korespondencji: Kraków, ul. Bonerowska 2/2

Drukarnia Literacka Kraków, Pl. Zgody 4 — Telefon 185-18.